

Hitlera był przede wszystkim doświadczeniem ludności cywilnej i to ona dominuje w rachunku ofiar wojny ZSRR, Polski, Jugosławii, Grecji, Francji czy Węgier. Straty ludzkie w Europie Wschodniej były dziesięciokrotnie większe niż na Zachodzie. W Polsce zabity został co szósty mieszkaniec. W ZSRR życie straciło przynajmniej 16 mln cywilów oraz 8,6 mln żołnierzy.

Bez względu na narodowość i kraj pochodzenia trudno było po wojnie znaleźć rodzinę nieokaleczoną przez wojnę. Jednak wśród ofiar europejscy Żydzi stanowili absolutny wyjątek. W wyniku planowej anihilacji wymordowano ich 6 mln – całe, kilkupokoleniowe rodziny od dziadków po niemowlęta. Większość ofiar Zagłady pochodziła z Europy Wschodniej, połowa z Polski. Gdy nazajutrz po wojnie komisje alianckie przystąpiły do szacowania strat, ich ogrom był przytłaczający. Dokładne szacunki dotyczące tych, którzy przeżyli Zagładę, są problematyczne, a pojawiające się w literaturze historycznej liczby dotyczące poszczególnych państw różnią się nawet o kilkadziesiąt tysięcy. Nie ulega wątpliwości, że w każdym z krajów (poza Bułgarią) Zagładę przeżyła jedynie niewielka część przedwojennej społeczności żydowskiej: około 55 tys. z 357 tys. czechosłowackich Żydów; około 250 tys. z 825 tys. węgierskich, około 20 tys. z 82 tys. jugosłowiańskich. W Rumunii za rządów Żelaznej Gwardii i gen. Iona Antonescu zamordowano około 380 tys. Żydów (przeżyło 350 tys.).

Polityka wobec ocalałych

Po wojnie państwa Europy Środkowo-Wschodniej znalazły się pod dominacją ZSRR. Nie wszędzie proces ten przebiegał jednakowo, w tym samym czasie i z takim samym natężeniem, niemniej jednak można wyróżnić wspólne cechy, które mu towarzyszyły. Polityka państw komunistycznych prowadzona wobec ocalałej ludności żydowskiej również nosiła wiele cech wspólnych. W obliczu skutków Zagłady ocalali stali się obiektem międzynarodowej troski. Początkowo państwa Europy Wschodniej zakładały duży margines swobody i autonomii organizacji żydowskich. Podobnie jak w Polsce, również w Rumunii, na Węgrzech, w Bułgarii, Jugosławii i Czechosłowacji powołano żydowskie instytucje o pluralistycznym składzie (od syjonistów do komunistów). Umożliwiono także funkcjonowanie instytucjom religijnym, kulturalnym, oświatowym i zawodowym.

Legalnie działające partie syjonistyczne w Budapeszcie, Bukareszcie, Pradze czy Sofii otwarcie nawoływały do walki o żydowskie państwo w znajdującej się pod mandatem Wielkiej Brytanii Palestynie i prawo do swobodnej emigracji. Wyjazd na Bliski Wschód był ograniczony przez postanowienia tzw. brytyjskiej białej księgi opublikowane jeszcze w 1939 r., stąd też trzy czwarte emigrantów żydowskich próbowało dostać się tam w sposób nielegalny. Do 1948 r. około 250 tys. ocalałych z Zagłady utknęło w obozach dla dipisów w strefach okupacyjnych Niemiec i Austrii, które były jednym z etapów wielkiej wędrówki. Hasło wyjazdu do Palestyny było bardzo popularne. Nie wszyscy jednak zmierzali na Bliski Wschód. Celem były także Ameryki, Kanada czy państwa Europy Zachodniej.

Cel: emigracja

W brytyjskich raportach z 1945 r. oceniano, że wyjechać pragnęło 70 proc. Żydów na Węgrzech (w tym 40 proc. do Palestyny) i przeszło połowa Żydów w Bułgarii. W lipcu 1945 r. w Rumunii o legalny wyjazd ubiegało się 150 tys. osób. Na ziemiach polskich już od 1944 r. trwała nielegalna emigracja organizowana przez działaczy syjonistycznych. Do 1948 r. objęła ona ponad połowę ocalałych (140 tys. osób). Według analityków brytyjskich, nastroje wyjazdowe były odpowiedzią na zorganizowaną kampanię propagandową syjonistów.

Jednak chęć emigracji nie wynikała tylko z nośnego hasła budowy żydowskiego państwa. Składało się na nią wiele

czynników – od osobistych po bardziej uniwersalne, powtarzające się w relacjach ocalałych. Ważną rolę odgrywała kondycja psychiczna – życie po traumie Zagłady łączyło się ze strachem, apatią i niepewnością co do własnej przyszłości. Nic już nie mogło być takie samo. „Wielu nie zdawało sobie sprawy z tego, że my, którzy przeżyliśmy, mamy spustoszoną duszę i uczucia, że jesteśmy jedną wielką, gorejącą raną pokrywającą całą naszą istotę. To co zewnętrzne było kamuflażem, ochronną zbroją, która pozwalała nam żyć wśród normalnych ludzi” – wspominała pochodząca z czeskiego Kolina Hana Greenfieldová.

Do wyjazdu skłaniała zrozumiała chęć ucieczki od miejsc związanych z traumatyczną przeszłością, a także nadzieja na odnalezienie zagranicznych krewnych. Znaczenie miały nowe porządki polityczne i ekonomiczne, w tym nacjonalizacja przemysłu i handlu. W socjalistycznej gospodarce tradycyjne zajęcia ludności żydowskiej skoncentrowane na handlu i drobnych wytwórstwie traciły rację bytu. Dodajmy, że ocalali z Zagłady byli w zdecydowanej większości pozbawieni jakichkolwiek środków do życia, a ich majątek uprzednio skonfiskowany na podstawie ustawodawstwa III Rzeszy. Sytuację pogarszała powojenna bieda. W Rumunii czynniki ekonomiczne, w tym wielka fala głodu w latach 1946–47, były jednym z głównych powodów emigracji. Podobnie w Bułgarii – gdy w grudniu 1944 r. stojący na czele Agencji Żydowskiej Dawid Ben-Gurion odwiedził Sofię, wielkie wrażenie zrobił na nim widok bosych i prawie nagich żydowskich dzieci, które mieszały ze swoimi krewnymi w nieopalanym i wypatroszonym z mebli domach.

Przemoc

Lektura niezliczonych źródeł i relacji z epoki wskazuje, że uniwersalnymi czynnikami, które wpływały na nastroje emigracyjne, były strach i powojenna przemoc. W relacjach pomiędzy sporą częścią mieszkańców państw Europy Wschodniej a ocalałymi Żydami panowała napięta atmosfera. Czy takie określenie jest eufemizmem? Raczej wypośredkowuje mnogość postaw, począwszy od tych wynikających z klasycznego antysemityzmu rozumianego jako wrogość i niechęć wobec Żydów, po wszechobecną po wojnie przemoc wynikającą z chciwości i biedy, szukającą usprawiedliwienia we wszechobecnym po wojnie alibi: komunistyczno-żydowskim spisku nazywanym żydokomuną. Taka atmosfera mogła owocować pogromami lub objawiać się jako „zwykły, codzienny antysemityzm”, o którym rosyjski pisarz Wasilij Grossman pisał, że choć jest „bezkrwawy”, to tworzy aurę nieufności, zawiści i złorzeczeń.

Świat, który wyłonił się z powojennej pożogi, był pobożowskim w wymiarze materialnym i moralnym. Pomimo istniejących różnic kulturowych i różnych uwarunkowań historycznych, podłoże powojennego antysemityzmu w Europie Wschodniej wszędzie było podobne: atomizacja społeczna i upadek reguł społecznych podczas wojny wyzwołyły (lub wzmocniły) schemat zbiorowej przemocy bazującej na istniejących uprzedzeniach. Antysemickie klisze zyskały nowy podkład. Z jednej strony było to zagrabione żydowskie mienie, po które wracali właściciele, z drugiej – przekonanie o uprzywilejowanym statusie Żydów, zabierających innym miejsca pracy, dominujących na stanowiskach politycznych i intratnych posadach w gospodarce. Na Węgrzech, w Rumunii i na Słowacji obecny był także strach przed zemstą Żydów na kolaborantach.

Pogarda i niechęć do Żydów były na tyle zauważalnym zjawiskiem w Polsce, Czechosłowacji czy na Węgrzech, żeby zająć miejsce w zbiorowej pamięci ocalałych z Zagłady. W świadectwach żydowskich spisanych w kilku językach i dotyczących różnych miejsc na mapie wschodniej Europy powtarzają się te same, złowrogie anegdoty na temat powrotów Żydów w rodzinne strony. W zaskakujący sposób powielają się w nich pytania ►

► zdziwionych sąsiadów: „To Ty żyjesz!”, czy też bardziej makabryczna fraza o „niedokończonej robocie Hitlera” utrwalona w źródłach odnajdywanych przez badaczy w archiwach od Kijowa po Pragę.

Co istotne, napięta atmosfera owocowała otwartą, fizyczną przemocą i ofiarami. W latach 1945–46 doszło do antysemitycznych zamieszek i pogromów, m.in. w Krakowie, Kielcach, Kijowie, w słowackich miastach Žilin, Komarno i Topolcany, a także na Węgrzech w Ózd, Kunmadaras i w Miskolcu. Aktywny udział w pogromach wzięła miejscowa ludność oraz ci, którzy powinni strzec porządku – milicjanci i żołnierze. Nie były one upiornym teatrem od A do Z reżyserowanym przez obce (radzieckie) służby. W napiętej atmosferze wystarczyła iskra.

W Kijowie zamieszki wybuchły 7 września 1945 r., podczas pogrzebu dwóch młodych żołnierzy Armii Czerwonej zastrzelonych trzy dni wcześniej przez starszego lejtnanta Rozensztejna z NKGB (Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Państwowego). Tłem całej sprawy było wcześniejsze wyrzucenie rodziny jednego z żołnierzy z mieszkania w Kijowie po tym, jak wrócili do niego jego żydowscy właściciele. Podczas pogrzebu mężczyźni sunący przez centrum miasta tłum wznosił antysemityczne hasła. Różne źródła podają, że w wyniku zamieszek ucierpiało około 100 Żydów, w tym 36 trafiło do szpitala z ciężkimi obrażeniami.

W pogromie w słowackich Topolcanach (24 września 1945 r.) brało udział około 300 mieszkańców miasteczka, w tym 20 żołnierzy. Bezpośrednim katalizatorem stały się niedorzeczne pogłoski o szczepieniu chrześcijańskich dzieci zatrutymi szczepionkami przez żydowskiego lekarza. Wśród mieszkańców krążyły także pełne rozgoryczenia głosy o tym, że „Żydzi nie pracują, zajmują się nielegalnymi transakcjami i są faworyzowani przez władze”. Podczas zamieszek zdemolowano żydowskie domy i sklepy, pobito i poważnie raniono 48 Żydów. Wydarzenia te stały się tematem głośnego filmu dokumentalnego w reżyserii Dušana Hudeca „Miluj bliźneho svojho” (2004 r.). W sierpniu 1946 r. doszło także do antyżydowskich wystąpień w Bratysławie. Historycy szacują, że do 1948 r. na Słowacji zabito co najmniej 36 Żydów i raniono ok. 100. Na Węgrzech Żydów oskarżano o spekulację i udział w mordach rytualnych. Obawiano się także roszczeń majątkowych (wątek ten został przedstawiony w fabularnym filmie Ferenc Töröka „1945” z 2017 r.). W maju 1946 r. w miejscowości Kunmadaras zabito dwóch Żydów i raniono 15 w wyniku zamieszek wywołanych przez plotkę, że Żydzi porywają chrześcijańskie dzieci i robią z nich kielbasę. Latem 1946 r. w Miskolcu tłum zabił dwóch Żydów.

Międzynarodowe stereotypy

Wszędzie zapalnikami były podobne czynniki: obawy przed koniecznością zwrotu „pożydowskich” nieruchomości lub majątku, plotki, w których pobrzmiewało echo legend o mordach rytualnych, a także rozgoryczenie wypływające z przeświadczenia o uprzywilejowanej pozycji, którą Żydzi zyskali jakoby wraz z pojawieniem się nowej władzy. Mniej lub bardziej

rozpowszechniony w całym regionie stereotyp żydokomuny był związany z obecnością w składzie gremiów politycznych i we władzach różnych instytucji osób pochodzenia żydowskiego. W niektórych instytucjach państwowych, zwłaszcza na stanowiskach kierowniczych, rzeczywiście ta obecność była zauważalna. Przykładowo w Rumunii – choć w strukturach partyjnych czy w służbach bezpieczeństwa Securitate ogół żydowskich pracowników nie przekraczał do 1949 r. 10 proc., to jednak na eksponowanych stanowiskach kierowniczych statystyki mówiły o sześćdziesięcioprocentowym udziale. Dla wielu z żydowskich komunistów była to konsekwentna droga wpływająca z lewicowych przekonań i udziału w ruchu komunistycznym jeszcze przed wojną, dla innych – przekonanie, że tylko pod rządami lewicy Żydzi zyskają gwarancję bezpieczeństwa.

W debatach wokół stereotypu żydokomuny pojawia się kwestia „żydowskości” komunistów o żydowskich korzeniach. Innymi słowy – na ile identyfikowali się oni z własnym pochodzeniem i jakie ono miało znaczenie w ich działalności. W Polsce wymieniani są w podobnych dyskusjach najczęściej Jakub Berman i Hilary Minc. Gdy spojrzymy na historiografię sąsiednich krajów, okaże się, że poszukiwanie „prawdziwych nazwisk” komunistów nie jest jedynie rozrywką polskiej prasy. Na Węgrzech wszyscy najważniejsi komuniści na czele z Mátyásem Rákosim byli pochodzenia żydowskiego. Czy wpłynęło to na politykę Węgierskiej Partii Komunistycznej? W 1946 r., tuż przed pogromem w Miskolcu, to sam Rákosi uciekał się do antysemitycznej retoryki, gdy w swoich przemówieniach uderzał w czarnorynkowych spekulantów. Jeden z najważniejszych przywódców Komunistycznej Partii Jugosławii, Moša Pijade, miał powiedzieć delegatowi z Palestyny, który powołał się na jego żydowskie pochodzenie, prosząc o pomoc w formalnościach związanych z emigracją: „Faszyści torturowali mnie nie jako Żyda, ale jako komunistę”.

Na co dzień jednak takie niuanse nie były dostrzegane. Mit żydokomuny stał się klątwą całej zbiorowości ocalałych i wkrótce, zgodnie z wytycznymi Moskwy, został wykorzystany w rozgrywce politycznej. Na początku lat 50. w Czechosłowacji, na Węgrzech i w Rumunii doszło do głośnych procesów wysoko postawionych osób w partii pochodzenia żydowskiego, oskarżanych o syjonizm i kosmopolityzm. Karę śmierci dostał m.in. były sekretarz generalny KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji Rudolf Slánský, do więzienia trafiła była wicepremier i ministra spraw zagranicznych Rumunii Ana Pauker. Dotąd wszechwładny węgierski przywódca partii komunistycznej Mátyás Rákosi w 1953 r. usłyszał od Ławrentija Berii, że „Węgry miały wielu cudzoziemskich królów, ale króla żydowskiego tolerować nie będą”. Trzy lata później Rákosi został odsunięty od władzy. Dla zwolenników mitu żydokomuny ta część historii ginie w mroku kolejnych teorii spiskowych. Podobnie jak fakt, że większość ocalałych z Zagłady Żydów, mieszkańców Europy Wschodniej, wyemigrowała ze swoich ojczyzn, a tych, którzy zostali, nie ominęły fale szykan.

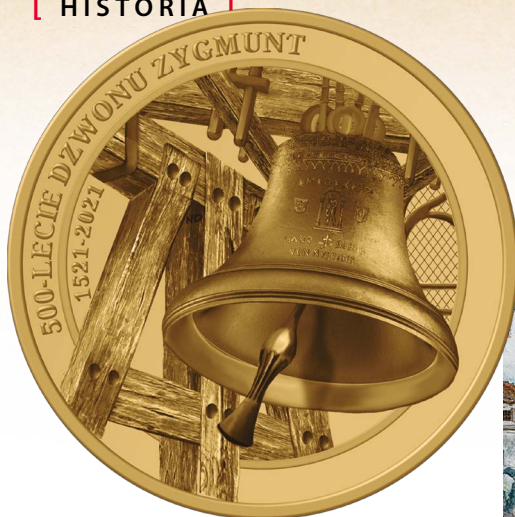
MAGDALENA SEMCZYSZYN

Autorka pracuje w szczecińskim oddziale IPN.

Ana Pauker, z pochodzenia Żydówka, wicepremier i ministra spraw zagranicznych Rumunii, w 1952 r. pozbawiona stanowisk i aresztowana.



SPAP



W tym tygodniu
500. urodziny obchodzi
zastępczy król Polski.
Śpiżowy i bardzo głośny.

ŁUKASZ WÓCIK

Jedno uderzenie serca wydobywa z Zygmunta nie pojedynczy ton, ale cały ich zestaw. Słysząc akord molowy – tak jak w przypadku większości historycznych dzwonów. Dla słuchacza amatora, w tym piszącego te słowa, wszystkie te dźwięki zlewają się w jeden. Ale jaki! Wywołane nim wrażenia psychoakustyczne zmieniają się w zależności od warunków zewnętrznych, a nawet nastroju słuchacza. To dlatego Zygmunt czasem wydaje się smutny, czasem pogodny. Wszystko to sprawia wrażenie, jakbyśmy mieli do czynienia z... żywą istotą.

„Oto jestem dzwon, nigdy nie oznajmiam spraw marnych, / Sławię Boga prawdziwego, zwołuję lud, gromadzę duchowieństwo, / Zmarłych opłakuję, żywych wołam, błyskawice łamię, / Głos mój, głos życia, wołam was, do świętości przyjdźcie, / Świętych chwałę, grzmoty przepędzam, pogrzeby zamykam, / Pogrzeby opłakuję, pioruny łamię, święta sławię, / Zagrzewam leniwych, rozpraszam wichry, uspokajam okrutnych” – takie słowa Zygmunta znalazł w średniowiecznych glosach i umieścił w książce „Dzwony i wieże Wawelu” Mieczysław Rokosz.

W średniowiecznej Europie dzwony traktowano jak żywe istoty – chrzczono je, nadawano imiona, miały swojego „rodzica” (fundatora) i opiekunów. Podczas samego chrztu stosowano te same rytuały co wobec ludzi, a nawet biskupów i królów. Tak było zapewne z Zygmuntem. Pół tysiąca lat temu biskup Jan Konarski użył wody święconej – dla oczyszczenia, było



Fragment obrazu „Zawieszenie dzwonu Zygmunta” Jana Matejki z 1874 r.

Obok: okolicznościowa kolekcjonerska złota moneta wybita w mennicy Polonia.

namaszczenie krzyżem, czyli mieszanią oliwy i balsamu. Zygmunta pewnie też okadzono, a potem obmyto roztworem wody z solą i egzorcyzmowano.

À propos człowieczeństwa Zygmunta – wykonanie formy zajęło około dziewięciu miesięcy. Sam proces odlania jest otoczony tajemnicą (zawodową też): tu rządził ogień, tradycyjny symbol oczyszczenia, transformacji i nadawania nadprzyrodzonych mocy. Chrześcijański dzwon jako „głos Boga” miał dzięki temu m.in. odganiać burze i pioruny. Zygmunt po to został powołany do życia: najpierw aby rozjaśniać niebo nad monarchią Jagiellonów, a potem rozganiać ciemności niewoli i rozbiorów.

W rocznicę Grunwaldu

Z narodzinami samego Zygmunta wiąże się wiele legend. Jedna z nich głosi, że król kazał wrzucić do formy srebrne królewskie naczynia, według innej

do rozgrzanej masy strunę ze swojej lutni wrzucił wirtuoz tego instrumentu i nadworny muzyk Zygmunta Starego Valentin Bakfark. Po odlaniu, raczej nie wcześniej niż w grudniu 1520 r., dzwon stygł przez trzy tygodnie. Pod Wawel trafił pod koniec czerwca 1521 r.: wędrował z warsztatu przy ul. Sławkowskiej, który król oddał do dyspozycji ludwisarza Hansa Behema, przez Rynek Główny i dalej Grodzką.

Dla dzwonów i odlewnictwa Behem porzucił odziedziczony po ojcu warsztat kowalski w Norymberdze i przeniósł się do Krakowa. Na początku zajął się odlewaniem armat dla króla. Zamówienie na dzwon przyszło niespodziewanie, bo 40-letni Behem miał na koncie zaledwie dwa niewielkie dzwony. Nowy wielki dzwon miał być podkreśleniem roli Katedry Wawelskiej, wotum dziękczynnym za wygrane bitwy, choć według innej wersji był też ►

► podziękowaniem za narodziny królewskiego syna, kolejnego Zygmunta – przyszłego Augusta.

Ostatecznie Zygmunt zawiśł 9 lipca 1521 r. na 101 śrubach, na specjalnej drewnianej konstrukcji wewnątrz wieży. Samą wieżę trzeba było powiększyć, żeby Zygmunt się zmieścił. Cztery dni później odezwał się po raz pierwszy – w wigilię święta Rozesłania Apostołów, z okazji rocznicy Bitwy pod Grunwaldem, pierwszego polskiego święta narodowego. Liny ciągnęło 12 dzwonników, 6 po jednej stronie dzwonu, 6 po drugiej – tradycja, która trwa do dziś.

Do rozbiorów Zygmunt bił około stu razy rocznie. Regularnie z okazji świąt liturgicznych, niesporów, uroczystości maryjnych, dla świętych patronów miasta i królestwa, przy okazji procesji i wszelkich świąt kościelnych oraz państwowych, związanych z rodziną królewską, której – jak wówczas uważano – był członkiem, czyli na koronacje, królewskie narodziny, śluby i zgony. Ostatni raz dla króla Rzeczypospolitej Stanisława Augusta Poniatowskiego odezwał się w 1787 r.

Symbol jedności

Przed Zygmuntem tę królewską rolę odgrywał jego starsze rodzeństwo. Wawelskie wieże mają w sumie 10 dzwonów: 8 liturgicznych i 2 zegarowe. Na wieży Srebrnych Dzwonów (Wikaryjskiej) wiszą: Nowak (najstarszy, odlany w 1241 r.), Goworek i Maciek. Na Zygmuntońskiej – obok naszego bohatera – Zbigniew, zwany też Kardynałem, Tęczyński (Półzygmunt), Urban i Wacław. Z Wieży Zegarowej odzywają się dwa cymbały: godzinny i kwadransowy.

Zygmunt jest oczywiście największy. Wysoki na 241 cm, u podstawy szeroki na 242 cm, w sumie 12,6 t (samo serce to 365 kg) spiżu – przy czym Zygmunt latem nieco chudnie, zimą zaś tyje, ale mimo to potrafi się wahać nawet o 60 stopni. Na jego płaszczu widnieją święci – Zygmunt i Stanisław, wizerunki polskiego Orła i litewskiej Pogoni oraz napis po łacinie: „Bogu najlepszemu, największemu i Dziewicy Bogarodzicy, świętym patronom swoim, znakomity Zygmunt król Polski ten dzwon godny wielkości umysłu i czynów swoich kazał wykonać roku zbawienia 1520”.

Zygmunt tak jak inne tego typu dzwony jest zwieńczeniem ewolucji tych instrumentów w chrześcijańskiej Europie. Takich kołyszających się gigantów pozostało zaledwie kilka. Największy z nich to erfurcka Maria Gloriosa (257 cm średnicy u podstawy, 11,4 t), drugi – koloński Pretiosa (240 cm, 10,5 t). Wśród dawnych polskich dzwonów-gigantów wyróżnia się

toruński Tuba Dei (220 cm, 7,3 t). Choć od roku 2000 Zygmunt nie jest największy w Polsce – ten tytuł należy do licheńskiej 14-tonowej Maryi Bogurodzicy.

W średniowiecznej i renesansowej kulturze europejskiej głos dzwonów-gigantów uważany był za symbol jedności, poczucia wspólnoty – element nadający rytm lokalnej społeczności i tym samym konstytuujący społeczny porządek. Dowodem na to było popularne w średniowieczu określanie przynależności parafialnej sformułowaniem „pod dzwonami świętego Antoniego” czy „świętego Jana”. Dzwon czynił też ze zwykłej wieży dzwonnicy, powołując ją do funkcji wyższej – wskazywała swoim czubkiem należyty kierunek aspiracji chrześcijan.

Był w końcu ucieleśnieniem powagi instytucji. Dlatego w przypadku tych kościelnych pozycja przekładała się na adekwatną liczbę dzwonów. I tak katedra mogła ich mieć pięć (ale nie więcej niż siedem), kolegiata – trzy, kościół parafialny – dwa. Ale z czasem górę brały względy ambicjonalne i dzwonów wieszano więcej. W przypadku wież wawelskich powagi dodaje jeszcze połączenie z Ołtarzem Ojczyzny (*Ara Patriae*), czyli Katedrą Wawelską, i sam rytuał dzwonienia.

Jego zasady uregulowano już w 1525 r. w tzw. kontrakcie bonerowskim. Tabelę płac dzwonników określał dokument królewski, a pieniądze pochodziły z dóbr królewskich w Prądniku. Za obsługę Zygmunta aż do rozbiorów odpowiedzialny był krakowski cech cieśli. Do dzwonienia dopuszczano tylko osoby „godne” obcowania z przedmiotami konsekrowanymi. Potem, już w trakcie rozbiorów, samodzielnie opiekę nad Zygmuntem przejął Kościół katolicki. Wtedy też Zygmunt stał się głosem nieobecnego państwa, zaczęła się mitologizacja dzwonu – w stronę narodowej świętości.

Talizman narodu

Przez cały XIX w. odzywał się przy okazji rezurekcji Zmartwychwstania Pańskiego, co oczywiście było odbierane jako zapowiedź zmartwychwstania ojczyzny. Tak samo jak żałobne bicie z okazji pogrzebów wielkich Polaków, m.in. Józefa Poniatowskiego (1817 r.), Tadeusza Kościuszki (1818 r.), podczas trzeciego pochówku Kazimierza Wielkiego (1869 r.). Odezwał się też m.in. w 200-setną rocznicę zwycięstwa pod Wiedniem (1883 r.). Dzięki temu Zygmunt stał się – jak to ujął Mieczysław Rokosz – „talizmanem narodu w niewoli”.



Tak pisał o nim historyk sztuki Karol Estreicher młodszy: „Na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, na Boże Ciało dzwonił z zasady. Wtedy szły pod Wawel tłumy w świątecznym weselu i słyszały jego głos napędlający ulice miasta. Już w przeddzień mawiano w Krakowie, że »Zygmunt będzie dzwonił«, i gdy spodziewano się go usłyszeć, otwierano okna, by jego dźwięk wpłynął do mieszkania, jakby przynosząc błogosławieństwo życia. Rzadko, bardzo rzadko dzwonił niespodzianie i wtedy budził niepokój i zaciekawienie. Brzmiał wtedy w całym mieście, wstrząsał nim, poruszał umysły mieszkańców. Dźwiękiem głuszył inne dzwony krakowskie i słyszały go dalekie przedmieścia. Ludzie stawali na ulicach, kupcy wychodzili ze sklepów, robotnicy przerywali pracę, bo on wyzywał, witał, obwieszczał”.

Jednym z tych zaniepokojonych słuchaczy na Plantach był Jan Matejko, który Zygmunta sportretował dwa razy – w obrazach „Zawieszenie dzwonu Zygmunta” i mniej znanym „Król Zygmunt I Stary słuchający dzwonu”. Szczególnie cenił jego dźwięk. Kolega Matejki, Izidor Jabłoński, tak to wspomina: „Jak tylko posłyszał dzwon Zygmunta, składał paletę i nasłuchiwał. Wystarczyło powiedzieć Janowi: dziś będą dzwonić w Zygmunta!



Zdjęcie przedstawiające stan współczesny.
Obok: pocztówka patriotyczna z 1918 r.

– »A prawda, a to chodźmy na planty«; (...) spacerując, słuchał ulubionego głosu, w trakcie czego przywołał znane fakty z historii, dodając: »Ja ich widzę jak żywych«».

W Krakowie jest też taka legenda: niedaleko Wawelu mieszkał 13-letni Staś. Tak jak Matejko uwielbiał dźwięk Zygmunta, raz z kolegami wdrapali się na wieżę i jakimś cudem rozkołysali dzwon. Potem „Dziennik Krakowski” pisał, że Zygmunt zabrzmiął bez okazji. Kościelni złapali chłopców i zaprowadzili do biskupa. Staś tłumaczył, że niczego więcej nie pragnął, tylko żeby Zygmunt zagrał dla niego. „Dzwon Zygmunta bije tylko dla znanych mężów” – odrzekł biskup.

Tym chłopcem okazał się Stanisław Wyspiański, który w „Weselu” włożył w usta Dziennikarza takie słowa: „A toć on nam tętni dziś, jak grzebiemy, kto nam drogi; zwołuje nas, każąc iść posłuchać kościelnych szumów, w wielkim zamęcie rozumów, w wielkim modlitew rozjęku, On pan, ten dzwon królewski, nie ustający w brzęku, o pękniętym sercu: nasz ton”.

Zygmunt się odwdzięczył, pożegnał Matejkę i Wyspiańskiego w ich ostatnich drogach. W końcu też człowiek i ma serce. Pękło mu ono w noc sylwestrową 1859/60 r. Krakowski „Czas” napisał

wówczas, poddając się modzie na antropomorfizację, że dzwon „pożegnał wprawdzie swoim głosem rok stary, lecz już nowego nie powitał, bo pękło mu żelazne jego serce, nie wiemy, czy z żalu za ubiegłym rokiem, czy też z rozpacz, tak jak pękają serca, które czują, dlatego, że nie z żelaza”.

Serce szybko naprawiono, biło już na Trzech Króli. Ale potem w niedługim czasie pękło dwukrotnie – w latach 1865 i 1876. W 2000 r. pękło ostatni raz i nie udało się go uratować – potrzebna była transplantacja.

27 minut

W 1918 r. Zygmunt oczywiście radował się z niepodległości. Ale wkrótce pokłócili się jego „rodzice”. Jak pisze Estreicher młodszy: „Z dalekiej podróży wróciło państwo polskie, ale już bez króla, który mógłby się w zakrystii upomnieć o Zygmunta”. Napięcie między państwem i Kościołem nie ujawniło się od razu. Tu znów Estreicher: „Lata rozbiorów w dużym stopniu zatępiły to, co polskie, i to, co katolickie. Ale ta dwoistość w końcu o sobie przypominała”.

Zygmunt bił z okazji wawelskiego pogrzebu Józefa Piłsudskiego w 1935 r., ale nie obyło się bez konfliktu. Metropolita krakowski, ówczesny arcybiskup Adam Sapieha już z okazji wawelskiego pogrzebu Juliusza Słowackiego w 1927 r. ostrzegał marszałka, że „krypty są już zamknięte”. Według znanego krakowskiego historyka, który chce zachować anonimowość, „ze względów środowiskowych”, Sapiesze, znanemu z endeckich sympatii, nie podobało się też „burzliwe” życie małżeńskie Piłsudskiego. Miał nawet proponować układ: pogrzeb na Wawelu – tak, bicie Zygmunta – nie. Ostatecznie wszystko poszło tak, jak chcieli adiutanci Piłsudskiego.

Podobne napięcia wróciły dopiero po II wojnie. W 1953 r. Zygmunt żegnał też Józefa Stalina. W Polskiej Kronice Filmowej z tamtych dni widać go i słyszeć. Według historyka Marcina Zaremby członkowie partii „odwiedzali” wówczas krakowskich proboszczów, partyjni prominenci wydzwaniali do krakowskiego metropolity. A tam, gdzie sytuacja była niepewna, do awaryjnego dzwonienia gotowi byli członkowie Związku Młodzieży Polskiej.

Ostatecznie Zygmunt odezwał się na śmierć Stalina bez przymusu bezpośredniego. Ale jak pisał kiedyś malarz Aleksander Borawski: „Odgłos dzwonu potęgował radość publiczną, a nieszczęśliwym zdarzeniom więcej okropności nadaje”. W sumie więc nie wiadomo, czy się wtedy smucił, czy cieszył.

Już z pełnym przekonaniem odezwał się natomiast nazajutrz po wyborze metropolity krakowskiego kardynała Karola Wojtyły na papieża. Dzwonił zresztą zawsze, gdy Ojciec Święty odwiedzał Kraków. Oczywiście żegnał go również, dzwoniąc nie standardowe 8 minut, ale aż 27 – po minucie za każdy rok pontyfikatu.

W ostatnich latach, poza „regulaminowymi” dzwoneniami związanymi ze stałymi świętami kościelnymi i narodowymi (ok. 30 razy w roku), Zygmunta można było usłyszeć m.in. po pożarze katedry Notre Dame w Paryżu, przy okazji kanonizacji Jana XXIII i Jana Pawła II, podczas pogrzebu Tadeusza Mazowieckiego, po abdykacji papieża Benedykta XVI i po wyborze papieża Franciszka. Zygmunt bił także po katastrofie samolotu rządowego w Smoleńsku.

Król nostalgii

Przez ostatnie pięć wieków Zygmunt był ucieleśnieniem wspólnoty narodowej – szczególnie w czasach rozbiorów stał się „zastępczym królem”, którego bicie wskazywało to, co dla politycznie niemych Polaków było ważne, przez co tworzył poczucie jedności narodowej. Ale jak długo to jeszcze potrwa?

Wspomniany anonimowy historyk z Krakowa twierdzi, że „do pierwszego fałszywego bicia, do pierwszej fałszywej ciszy Zygmunta”. – *Życzę prezydentowi Lechowi Wałęsie jeszcze 200 lat. Ale wyobraźmy sobie taką sytuację: Wałęsa umiera, a Zygmunt milczy, co nie wydaje mi się nieprawdopodobnym scenariuszem przy obecnym kierownictwie krakowskiego Kościoła* – mówi historyk.

Zygmunt to dziś król polskiej nostalgii. Opisuje to zjawisko inny Zygmunt – Bauman – w swojej „Retropatii”: tęsknota za odchodzącym światem i patrzenie na współczesność przez pryzmat przeszłości przerodziły się u nas w nieracjonalną „epidemię nostalgii” – w polskim przypadku: nostalgii za czasami z obrazu Matejki, na którym narodziny Zygmunta zwiastowały apogeum potęgi Jagiellonów.

Jak pisze Bauman, dzisiejsza i przyszła niepewność budzi strach. Nostalgia za tym, co dawne i pewne, przynosi poczucie bezpieczeństwa. Tęsknimy za utraconą wspólnotą, próbujemy odtworzać zbiorową pamięć, wyobrażamy ją sobie i w ten sposób próbujemy kreować teraźniejszość.

Ale tamtej wspólnoty z obrazów Matejki już nie ma. I przekonamy się o tym przy pierwszym fałszywym biciu Zygmunta, przy pierwszym jego fałszywej ciszy. O ile jeszcze cokolwiek usłyszymy w rosnącym zgiełku Krakowa.

ŁUKASZ WÓJCIK

na scenie

Hindemith w wersji cyberpunk 4/6

Paul Hindemith, **Cardillac**,
reż. Mariusz Treliński,
Teatr Wielki–Opera Narodowa

Gdyby opisać jednym zdaniem ten spektakl, można powiedzieć: ten sam Treliński, tylko bardziej. Jest tu znów piętrowa konstrukcja na scenie obrotowej, projekcje i efekty świetlne, motywy z innych realizacji – neony, bar, białe pomieszczenie z żaluzjami, różowa kanapa. Ale wszystkiego jest więcej, projekcje pokazywane są w wielu małych okienkach, wizje w poszczególnych pomieszczeniach coraz bardziej fragmentaryczne, pojawiają się anonimowe postaci o świecących twarzach robotów. Dystopijne miasto Paris Sinai wybudowane przez Borisa Kudlickę (scenografia) i Bartka Maciasa (projekcje) to świat, w którym wszystko jest anonimowe i obce, są szalone emocje, ale nie ma empatii. Świat, który ma wiele wspólnego z dzisiejszym. Atrakcyjność wizji, ale również strony muzycznej spektaklu (znakomita cała obsada, z **Tomaszem Koniecznym** w roli tytułowej i **Izabelą Matułą** jako jego córką na czele), zderza się z dramaturgicznym pęknięciem. Sam kierunek modyfikacji libretta wydaje się uzasadniony – dziś również, jak sto lat temu, mamy fascynację miastem, masami



ludzkimi, technologią, a także narastającym złem. Jednak z historii o jubilerze-mistrzu, który darzy swoje dzieła tak chorą miłością, że morduje ich nabywców, by przedmioty odzyskać, reżyser tworzy opowieść o rzemieślniku i jego sobowtórce-demonie, który dokonuje morderstw, gdy sam Cardillac wciąż siedzi w pracowni. Przeinaczonych

jest wiele wątków, np. kochająca córka morduje ojca (w oryginale pada on ofiarą linczu) – i to przed finałem, który staje się kompletnie niezrozumiały. Jednak warto to obejrzeć, a przede wszystkim zapoznać się ze znakomitą muzyką Hindemitha; niestety, spektakl szybko na scenę nie wróci.

DOROTA SZWARCMAN

w telewizji

Luksusowe wakacje 5/6

Biały Lotos (The White Lotus),
reż. Mike White, HBO i HBO GO,
od 12 lipca, 6 odc.

Lotnisko na Hawajach, turyści wracają do Stanów, plotkują o hotelu, w którym coś się wydarzyło, widzimy trumnę pakowaną do samolotu i nerwową reakcję młodego mężczyzny na pytanie, gdzie jest jego żona. Co się stało? Kto umarł? Żona? Sześciuodcinkowy miniserial Mike'a White'a odpowiada na te pytania, ale jest przede wszystkim osadzoną w luksusowym kurorcie i porywających urodą tropików historią o stosunkach społecznych – o białych i kolorowych, bogatych i biednych,



obsługiwanych i obsługujących, z pytaniem o młode pokolenie, czy ono jest szansą na zmiany. W tonie przypomina swojego wspaniałego poprzednika – „Iluminację” („Enlightened”), serial z początku XXI w., który White stworzył z Laurą Dern (zagrała główną rolę pracowniczki korporacji po załamaniu nerwowym). Tam na celownik twórcy wzięli kapitalizm, tu m.in. stosunki rasowe, w obu przypadkach efektem jest rodzaj satyry społecznej. Trafiającej w punkt, zaludnionej przez bohaterów, którzy nie są karykaturami, także ci biali i parszywie bogaci. To obraz świata, w którym wszyscy są uwikłani w fałszywe relacje, oparte na transakcjach, pieniądzu i manipulacji, i na rozmaite sposoby próbują sobie z tym radzić. Bywa zabawnie, ale dominuje narastające napięcie. A głównym narzędziem narracyjnym, stosowanym przez White'a z sadystyczną precyzją zarówno wobec bohaterów, jak i widzów, jest poczucie dyskomfortu.

ANETA KYZIOŁ

na ekranie

Algieria, mon amour 4/6

DNA (ADN), reż. Maïwenn, prod. Francja 2020 r., 90 min

Dysfunkcyjna rodzina z przemocą w tle, poczucie bycia ofiarą, łapanie równowagi w związku to ulubione tematy Maïwenn, 45-letniej francuskiej aktorki i reżyserki, chętnie czerpiącej inspirację z osobistych doświadczeń. Po okrutnie ekshibicjonistycznej „Mojej miłości” i rozliczającej arabskie pochodzenie „Cenie sukcesu”, w „DNA” artystka konsekwentnie podąża wytyczoną przez siebie ścieżką. Tym razem skupia się na żalobie po stracie bliskiej osoby. Centralną postacią jest emigrant polityczny, algierski działacz komunistyczny, chory na alzheimera dziadek bohaterki (granej oczywiście przez **Maïwenn**), pełniący symboliczną funkcję strażnika rodzinnej pamięci. Jego odejście zmusza do postawienia fundamentalnych pytań o wiarę i własną tożsamość w kraju, gdzie zachowania rasistowskie nie należą do wyjątków, a kolejne pokolenia imigrantów pragnące jak najszybciej stać się Francuzami głoszą na skrajnie prawicową partię Marie Le Pen. „DNA” idzie w poprzek politycznej poprawności. Zaprzeczając „niekompatybilności kulturowej” muzułmanów i rdzennej ludności francuskiej, pokazuje, na czym polega trudny proces rozplątywania skomplikowanych kulturowo-religijnych korzeni w mało przejrzystej rzeczywistości. Mówi o buncie i dochodzeniu do świadomości bycia sobą nawet za cenę pomówienia o nacjonalizm.



JANUSZ WRÓBLEWSKI



na ekranie

Jak wywołać ziewanie 2/6

Jak wywołałem byłą żonę (Blithe Spirit), reż. Edward Hall, prod. Wielka Brytania, 95 min

Sceniczna komedia Noëla Cowarda cieszy się popularnością od lat 40., tuż po wojnie z powodzeniem przeniosł ją na ekran David Lean, doczekała się też wersji musicalowej, a w Polsce zaadaptował ją pod tytułem „Seans” m.in. Edward Dziewoński (na potrzeby Teatru Telewizji). Tekst sztuki, niegdyś wzorcowe połączenie farsy i screwball comedy, nieco się zestarzał, lecz historia Charlesa Condomine’a, autora kryminałów, w którego życiu dość niespodziewanie pojawia się duch zmarłej żony Elviry, na dodatek rywalizujący z Ruth, obecną małżonką pisarza, wciąż powinna być samograjem. Tymczasem nowa ekranizacja nie podejmuje nawet próby nawiązania dialogu ze współczesną widownią albo zdefiniowania od nowa stereotypowo rozpisanych ról. Najodważniejszą decyzją scenarzystów okazuje się zatem dopisanie wątku kinematograficznego na drugim planie: Charles zmaga się z blokadą twórczą, pisząc nie kolejną powieść, ale scenariusz filmowy. Takie puszczenie oka do widzów jednak nie wystarczy. Adaptacja komedii Cowarda jest zachowawcza i pozbawiona emocji, a wspaniała obsada – **Isla Fisher, Dan Stevens, Judi Dench** w ważnej roli drugoplanowej – jej nie ratuje. Bliżej finału Charles usłyszy, że „nie ma już oryginalnych opowieści”, ale publiczność wie to przecież od pierwszych minut.

JAKUB DEMIAŃCZUK

w telewizji

Magiczne Podlasie 3/6

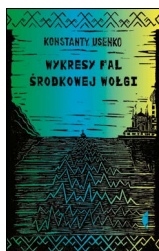
Kruk. Czorny woron nie śpi,
reż. Maciej Pieprzyca, Canal+, canalplus.com,
od 9 lipca, 6 odc.

Osadzony na Podlasiu „Kruk. Szepty słychać po zmroku”, zrealizowany trzy lata temu z rozmachem według oryginalnego i intrygującego scenariusza Jakuba Korolczuka był serialowym wydarzeniem. Świetna była historia, grany przez **Michała Żurawskiego** główny bohater, komisarz Adam Kruk, walczący z demonami przeszłości (także dosłownie!) i tło – pogranicze, ze swoim folklorem i swoją ekonomią. Po obejrzeniu trzech odcinków kontynuacji – „Kruk. Czorny woron nie śpi” – wydaje się, że twórcy nie bardzo wiedzieli, co jeszcze można dodać do tej opowieści. I zrobili to, co sami często



robimy, gdy nie mamy już nic do dodania, ale czujemy, że trzeba kontynuować – mówią to samo jeszcze raz, tylko głośniejsze. Kruk, tym razem z rodziną, znowu wraca na Podlasie, które jest jeszcze bardziej „magiczne”, co z uporem podkreślają zdjęcia. Znowu walczy ze swoimi demonami – z pomocą szeptuchy i jej rytuałów. A w tle są jakieś

kompletnie nieistotne i do cna zgrane wojenki mafijne o kontrolę nad produkcją i przemysłem lewych papierosów oraz równie świeży motyw seryjnego mordercy kobiet. Nowością są Magdalena Kolesnik i Leszek Lichota w rolach lokalnych policjantów – i oby ich wątki okazały się mniej sztamkowe. AK

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Disco i maryjski rap 5/6

Konstanty Usenko, **Wykresy fal środkowej Wołgi**, Czarne, Wołowiec, s. 264

Właściwie tego właśnie należało się spodziewać, jeśli ktoś miał już za sobą lekturę poprzedniej książki Konstantego Usenki, „Buszującego w barszczu”, sugestywnej reportażowej opowieści o radzieckiej i rosyjskiej kulturze alternatywnej. „Wykresy fal środkowej Wołgi” też są reportażem. Tyle że traktują o zupełnie u nas nieznanych krainach Powołża, wraz z ich dawnymi tradycjami, mitologiami i zupełnie aktualną, wielce osobliwą popkulturą, i są przy tym solidnym dziełem, które całkiem dobrze mieści się w rygorach studiów z zakresu antropologii kulturowej. Rekonstrukcje czeremieskich (maryjskich) mitów czy opisy rytuałów związanych z narodzinami i śmiercią pozwalają nazwać autora wnikliwym etnografem, który odważnie podąża drogą wytyczoną kiedyś przez Claude’a Levi-Straussa i Clifforda Geertza.



No i temat kluczowy – zdeintegrowane kultury małych narodów (Czuwasze, Maryjczycy, Udmurci), które na gruzach przechowywanych przez folklorystów tradycji i przy wciąż silnych wpływach kultury radzieckiej przetwarzają po swojemu (po)nowoczesną estetykę architektury, muzyki, tańca czy sztuk wizualnych. Jest w tym i nadwołżańsko-rosyjskie disco, i maryjski rap, i nawet hipsterskie praktyki ironicznego korzystania z peryferyjnego popu. „W Kazaniu – pisze Usenko – szczególnym zainteresowaniem cieszą się płyty z psychodelicznym tureckim rockiem z lat 70. i z jego radzieckimi odpowiednikami”. Do tego opowieści o ludziach, takich jak tatarska gwiazda sceny electro-pop Alisa (Superalisa), „kazański Timothy Leary”, twórca psychodelicznych instalacji świetlnych Bułat Galejew, czy Gabduła Tukaj, „tatarski Mickiewicz”.

MIROSLAW PĘCZAK



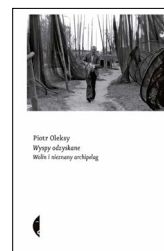
Oparcie w chaosie 5/6

Barbara Woźniak, **Niejedno**, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2021, s. 414

Niejedno” ujmuję od pierwszego zdania: „Byłem świadkiem kilku śmierci Niemca, nie mam siły na więcej”. Debiut Barbary Woźniak jest utkany z wielu nawiązań do książek, które Szymon przypomina sobie w związku ze swoim powrotem do domu, do Tarnowa, i z książek, które rymują się z jego sytuacją, choćby „Znikanie” Morskiej

czy „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” Wichy. A wraca wykładowca etyki z Krakowa, bo ojciec choruje na alzheimera. Tytuł powieści nawiązuje do pojęcia jednoznacznej straty, czyli doświadczenia bliskich, że choć jeszcze jest, ale już go nie ma, bo traci pamięć i język. „Na co pamiętki komuś, kto już nic nie pamięta” – myśli Szymon, paląc w piecu starymi szpargałami ojca, przy dziecięcych ciupagach się waha. Choroba ojca wdziera się na jego zajęcia ze studentami, na których zastanawia się, jaką rolę w praktyce lekarskiej ma etyka, jak starzy pacjenci są pozbawieni godności i infantylizowani. Ale etyka medycyny nikogo nie interesuje. Woźniak świetnie portretuje bohatera, pokazuje, jak jego myśli i praca, skoncentrowane na ojcu, są z jednej strony poszukiwaniem oparcia w chaosie, a z drugiej strony są walką, że tak nie może być. Bohater ponosi kolejne porażki, ale w tej batalii, której nie można wygrać, jesteśmy po jego stronie. I to, co nie może udać się w życiu, może rozwiązać się w powieści.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Opowieści z wysp 4/6

Piotr Oleksy, **Wyspy odzyskane. Wolin i nieznan archipelag**, Czarne, Wołowiec 2021, s. 288

Czy Polska jest krajem wyspiarskim? Piotr Oleksy w „Wyspach odzyskanych” przekonuje, że w pewnym sensie można tak powiedzieć, a liczba mnoga z tytułu książki wcale nie jest na wyrost – u ujścia Odry znajduje się bowiem cały archipelag, złożony z ponad czterdziestu wysp. Jest to archipelag nieznany. Stwierdzenie, że dla przeciętnego Polaka Wolin, Uznam czy Karsibór są bytami równie mglistymi jak, dajmy na to, Naddniestrze z poprzedniej książki reporterskiej Oleksego, jest pewnie przesadą, ale niewielką. Archipelag zawsze był odrębny. Jego polska historia zaczęła się wraz z końcem II wojny światowej, gdy na mocy postanowień poczdamskich wyspy zostały włączone do Polski. Nie bez racji nazywany był Polskim Dzikim Zachodem i jako taki stanowił w dużej mierze teren „wyjęty spod prawa”. Oleksego jako historyka szczególnie interesuje właśnie burzliwy okres „lat zerowych” oraz kolejne dekady, w których archipelag powoli przemieniał się z ziemi niczyjej w ziemię obiecaną i okno na świat. Wyspy odzyskane wiele zawdzięczają reporterskiemu doświadczeniu Oleksego i jego ciekawości drugiego człowieka. Weźmy Brittę Wuttkę, lekarzkę i pisarkę, „ostatnią z pomorskich wiedźm”, która po wojnie musiała opuścić rodzinne Misdroy (Międzyzdroje), by – wbrew okolicznościom – powrócić na Wolin. Albo Lechosława Goździka, przywódcę robotniczego z Października 1956 r., który rzucił politykę, wyjechał najdalej, jak się da (czyli do Świnoujścia), i został najbardziej znanym rybakiem na archipelagu. Solą archipelagu są wypowiedzi wypędzonych, osiedleńców i współczesnych kolonizatorów. To oni tworzyli współczesne wyspy.

MACIEJ ROBERT

Życie jako takie 5/6

Muzyka Końca Lata, **Prywatny Ciechocinek**, Thin Man

Ladna jest ta pierwsza scena z „Nie napiszę już piosenki” – Bartosz Chmielewski z grupy Muzyka Końca Lata kreśli wizję uwolnienia od zobowiązań, jakim jest nagrywanie nowej muzyki. I oczywiście... pisze o tym piosenkę. Zaczyna się więc ta płyta od resetu zobowiązań. Udany startowy chwyt dla bezpretensjonalnego albumu o smudze cienia, niepewności, czasie przewartościowań i potrzebie życiowych przemeblowań. Włącznie z tymi najbardziej przyziemnymi: trudną nauką bycia z samym sobą („Naucz się być sam”), docenianiem drobnych wrażeń (z piosenką tytułową sławiącą uroki dobrego barszczu i diety wege), no i pochwałą życia jako takiego („Żyjmy”). W tekstach prosta poezja na granicy kontrolowanego banału, a w refrenach – sprawdzone już chórki Oli Bilińskiej, które unoszą tę schematyczną, świadomie prowincjonalną piosenkę ponad to, co można było wziąć za jakiś szklany sufit konwencji. I cały „Prywatny Ciechocinek” jest czymś więcej niż się wydaje. Albumem zrozumiałym i przystępnym, ale momentami zakrzywiającym tę pozorną przestrzeń zwyczajności mocą muzyki. A przy tym imponująco aktualnym: mówi o zmianie sposobu życia w ostatnich miesiącach więcej niż debaty online i efekty konkursów na kulturę w pandemii.

BARTEK CHACIŃSKI



W letnim nastroju 4/6

Paula & Karol, **Lifestrangle**, Mystic Production

Oczywiście wiadomo, że w tekstach tych piosenek nie chodzi o dobry nastrój wynikający z wypoczynkowego relaksu. Jak zawsze u Pauli i Karola słyszymy o emocjonalnych komplikacjach, o trudnej drodze do osiągnięcia harmonii (wewnętrznej i społecznej), o rozstaniach (także z krajem urodzenia), o poszukiwaniu – jakkolwiek brzmiałoby to banalnie – szczęścia. Otóż wakacyjne są na tej płycie melodie i nastrój, przynajmniej do utworu „Memories” włącznie. Otwierająca album piosenka „Safe From Harm” wprowadza w klimat balladowy, a potem (co trochę zależy od wieku słuchacza) budzą się muzyczne reminiscencje. Surfujący rock w „Stressed Out”, nawiązania do bezpretensjonalnego popu z lat 70. w „Leave Me”, a w „Better News” skrzyżowanie klimatów starych piosenek Johna Sebastiana (pamiętacie – ci, którzy mogą pamiętać – „Younger Generation”) z balladami Simona and Garfunkela, a może nawet trochę z Mamas and Papas. Potem jest już nieco ciężiej, choć melodyjność i łagodny podkład gitarowy wciąż rządzą. Tak czy siak płyta znakomicie komponuje się z latem, nawet tym najbardziej gorącym.

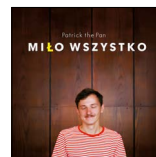
MIROSLAW PĘCZAK



Wyjście z cienia 4/6

Patrick The Pan, **Miło wszystko**, Agora

To już czwarta płyta Piotra Madeja nagrywającego od dawna pod pseudonimem Patrick The Pan. Ale zarazem pierwsza po gigantycznych sukcesach tras koncertowych, które jej autor grał u boku Dawida Podsiadły po publikacji albumu „Małomiasteczkowy” tego ostatniego. Już wcześniej ze sobą pracowali, ale z pewnością jako multiinstrumentalista Madej jest dziś postacią mniej anonimową – warto go więc posłuchać także w roli autora i wokalisty. Dziś to jego Podsiadły wspomaga w chórkach – w utworze „Toronto”, jednym z najlepszych fragmentów albumu „Miło wszystko”. Całość to – w kategoriach nastroju – trochę uśmiech przez łzy. Wizja wychodzenia z nie najszcześniejszych życiowych perypetii, z optymizmem gdzieś na horyzoncie. Opowiadane jest to w sposób prosty i zwyczajny (pod tym względem może konkurować z opisywaną obok płytą Muzyki Końca Lata), w najbardziej banalnym, do granic przerysowania wydawałoby się, fragmencie „Nie chcę psa” (związek, który się rozpada, z adoptowanym psem pośrodku) – oparte na faktach. „Żle podpowiada mi Google Maps / Twój dom to już nie tam” – słyszymy z kolei w wykonywanym z raperem Meek, Oh Why? Utworze „Zmiany, zmiany”. Cała ta płyta to osobista kronika – zgrabna, momentami muzycznie zbyt gładka, ale w sumie przekonująca. BCH



w galerii

Psycholożka z pędzlem 4/6

Artystka. **Anna Bilińska 1854–1893**, Muzeum Narodowe w Warszawie, do 10 października

Sześć lat temu w muzeach narodowych Warszawy i Krakowa prezentowany był dorobek Olgi Boznańskiej. Teraz przyszedł czas na inną niezwykłą, choć mniej znaną artystkę XIX w., Annę Bilińską-Bohdanowicz. W sztuce nie wyważała żadnych drzwi, nie podłączała się pod pączkujące wówczas nowoczesne kierunki. I choć niekiedy widać w jej obrazach lekkiego ducha impresjonizmu, to jednak pozostawała przede wszystkim przedstawicielką akademickiego realizmu. Ale jaką! Miała fantastyczny warsztat malarski



Anna Bilińska-Bohdanowicz, „Nad brzegiem morza”, 1886 r.

i psychologiczną wrażliwość w portretach, które stały się jej najpotężniejszą artystyczną bronią. Prawdziwą sensacją są dwa spośród nich sprowadzone na wystawę z zagranicy, a u nas wcześniej nieznane: monumentalne wizerunki rzeźbiarza George’a Greya Barnarda i pianisty Józefa Hofmanna. Choćby dla nich warto wystawę odwiedzić. A przecież są jeszcze dwa wspaniałe autoportrety (jeden niedokończony), melancholijne pejzaże i wiele innych. Zatem spotkanie z malarstwem Bilińskiej to jak czytanie sonetów Petrarce: przynosi mnóstwo wrażeń estetycznych i nieliczne emocjonalne. Choć jej życie prywatne było z kolei przepełnione emocjami. Z jednej strony naznaczone licznymi tragediami, kłopotami, nagłymi zmianami, z drugiej – świadome i niezależne, pełne determinacji, z błyskotliwie zapowiadającą się dalszą paryską karierą przerywaną nagłą śmiercią. Ten życiorys to gotowy scenariusz filmowy.

PIOTR SARZYŃSKI



Zderzenie z państwem

Naszym zadaniem jako twórców jest konfrontowanie siebie i widzów z tym, co niewygodne, co próbuje się ukryć – mówi **Jan Holoubek**, reżyser kryminalno-obyczajowego serialu „Rojst '97”.

ANETA KYZIOŁ: – W drugim sezonie „Rojsta” wracamy wraz z grany przez Dawida Ogrodnika redaktorem Zarzyckim na Dolny Śląsk po ponad dekadzie od wydarzeń z pierwszej części. Odchodzący na emeryturę redaktor naczelny „Kuriera Wieczornego” brutalnie podsumowuje transformację ustrojową: „Jednych skur... zastąpili drudzy”.

JAN HOLOUBEK: – Jest reprezentantem poglądów, które część społeczeństwa wtedy miała i zresztą ma do dziś. Ta wizja zdrady, zawiedzionych oczekiwań, że oto na „pstryk” wszystko się zmieni i stanie się cud gospodarczy. Ja nie jestem aż takim czarownikiem, są lepsi i gorsi, także wśród polityków.

Lata 90. są dzisiaj przez jednych mitologizowane, a przez innych demistyfikowane. Do której grupy panu bliżej?

Jednak do demistyfikacyjnej. Nostalgii czuję raczej za latami 80., bo to okres mojego dzieciństwa. Natomiast lata 90. są dla mnie okresem nabywania wiedzy, wkraczałem wtedy w dorosłość. W 1997 r., w którym toczy się akcja sezonu, zdałem maturę. To lata bardzo burzliwe i ciekawe, zarówno z mojej prywatnej perspektywy, jak i w kontekście społecznym. Wtedy buzowało, Polska naprawdę się przekształcała. Jedni



Jan Holoubek (ur. 1978 r.) – absolwent Wydziału Operatorskiego Łódzkiej Filmówki. Autor zdjęć do wielu filmów i seriali. W 2007 r. zrealizował autorski film dokumentalny o swoim ojcu Gustawie Holoubku i Tadeuszu Konwickim „Stońce i cień”. W 2018 r. na platformie Showmax miał premierę pięcioodcinkowy kryminalno-obyczajowy „Rojst”, którego jest reżyserem i współscenarzystą. Jego filmowy debiut „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” (2020 r.) otrzymał wiele nagród, m.in. dla najlepszego debiutu na Festiwalu w Gdyni, był także nominowany do Paszportów POLITYKI. 7 lipca na Netflixie pokazany zostanie drugi sezon „Rojsta” – sześciuodcinkowy „Rojst ’97”, z akcją osadzoną na Dolnym Śląsku podczas powodzi stulecia. Jan Holoubek zaczyna też zdjęcia do kolejnego serialu, „Wielkiej wody”. Premiera w przyszłym roku na Netflixie.

© PAP/ALBERT ZAWADA

ludzie zaczęli sobie radzić, zakładać swoje biznesy, inni spadali na dno społecznej drabiny, rosło rozwarstwienie, rozczarowanie, ale także euforia.

Tłem dla tej opowieści jest powódź stulecia, która w lipcu 1997 r. zalała Dolny Śląsk. Nie pokazujecie samej wody, tylko efekt zniszczeń – i to jest może nawet bardziej sugestywne. Ulice zawałone błotem, ludzie sprzątaj domy, wynoszą zniszczone przez powódź meble, wszędzie leżą worki z piaskiem.

Powódź jest nie tylko wydarzeniem, które wszyscy pamiętają, ale również świetnym zapalnikiem do kryminalnej opowieści. Woda może wymyć i odkryć niewygodne fakty. Kiedy teraz na to patrzę, to myślę, że powódź była także momentem zderzenia się społeczeństwa z państwem.

To trochę lustro dla pandemii?

Bardziej niż trochę. Pierwszą drabinkę sezonu napisaliśmy w 2018 r., więc nie mogliśmy wiedzieć, co się wydarzy dwa lata później. Za chwilę zaczynam zdjęcia do nowego serialu dla Netflixa „Wielka woda”. To obyczajowo-katastroficzna opowieść o powodzi stulecia i tutaj te korelacje między pandemią a powodzią są niesłychanie bliskie.

Państwo polskie się nie rozwinęło przez te 25 lat?

Nie, tego nie chcę powiedzieć, bo uważam, że myśmy jako kraj wykonali od tamtego czasu olbrzymi skok. Natomiast pewne zachowania polityków, mechanizmy manipulowania opinią publiczną są identyczne.

Trudno było znaleźć dziś miejsca przypominające Polskę sprzed ćwierć wieku?

W Warszawie bardzo trudno. Znaleźliśmy trochę takiej niezrewitalizowanej tkanki miejskiej na Dolnym Śląsku – w Wałbrzychu i Świdnicy – oraz w Częstochowie i Katowicach. Łatwiej jest w sferze gadżetów, bo nie brakuje fanów designu i popkultury lat 90. Naszym konsultantem była trójmiejska inicjatywa VHS Hell, która wsparła nas swoimi kolekcjonerskimi kontaktami, pożyczyła nam mnóstwo gadżetów do pokoju nastolatka, który gra ważną rolę w tym sezonie: oryginalne kasety magnetofonowe z okładkami, ludziki G.I. Joe itd. Niesamowitą pracę w odtworzeniu lat 90. wykonał nasz pion scenograficzny pod wodzą Janusza Mazurczaka.

Pierwszy sezon, osadzony w beznadziei połowy lat 80., miał premierę w 2018 r. i był reklamowany hasłem „Witaj w polskim bagnie”. Mocno się to w tamtym czasie rymowało z odczuciami wielu co do rzeczywistości. W tym sezonie ważnym wątkiem jest dzika deweloperka i luksusowe osiedla za bramą.

To, że dobrze opowiada się o współczesności przy użyciu historycznego tła i kostiumu, to przecież nie nasze odkrycie. „Rojst ’97” mocno koresponduje z dzisiejszymi czasami, choć również uwypukla kontrast. Tamta młoda Polska była rozpedzona w pogoni za Zachodem, na tym tle jasno widać, w jakim kierunku pędzi dzisiejsza.

Po pańskim filmowym nagradzanym debiucie „25 lat niewinności. Sprawa Tomka Komendy” oba sezony „Rojsta” ogląda się jak fabularne komentarze do tej opartej na faktach, wstrząsającej historii. We wszystkich przypadkach akcja dzieje się na Dolnym Śląsku, wokół policyjno-prokuratorskiego układu, który doprowadza do skazania niewinnych i chroni sprawców, a zbrodnia miłoszycka, za którą został skazany Tomasz Komenda, miała miejsce w sylwestra 96/97.

Nie planowałem tego, tak się ułożyło. Jak się opowiada o latach 90. w Polsce, to siłą rzeczy relacja władza–obywatel, ale także obywatel–obywatel jest naznaczona jakimś rodzajem opresji. Co – jak się okazuje – nabrało ponownie aktualności, chociaż w innym wydaniu i skali.

Pisząc z Kaspem Bajonem scenariusz „Rojsta ’97”, inspirowaliście się prawdziwymi wydarzeniami? Obok afery deweloperskiej jest na przykład sprawa porwania syna lokalnego biznesmena Kielaka.

To był czas porwań dla okupu. Inspirowaliśmy się luźno opisywanymi przez prasę wydarzeniami z tamtych lat. Kielak, były aparatczyk komunistyczny, który po 1989 r. stał się tuzem biznesu, mieszka w rezydencji à la „Dynastia”. Jest typowym przykładem uwłaszczenia się poprzedniej władzy na upadającym majątku państwa. To akurat wątek napisany w pełni przez nas. Mówię o tym, ponieważ scenariusz „Rojsta ’97” powstał na bazie „Mordu”, scenariusza Marcina Wrony i Pawła Maślony. Stamtąd wzięliśmy część postaci, niektóre wydarzenia i główną oś kryminału, którą jest śmierć nastoletniego chłopca. Zmieniliśmy jednak puentę całej historii, tak żeby pasowała do naszej historii i pozwoliła wybrzmieć losom głównych bohaterów.

Podoba mi się w „Rojście” akcentowanie ciągłości. Bohaterowie i miejsca mają przeszłość, ciągnie się za nimi wojna, PRL i nikt nie ma złudzeń, że można ją określić nawet najgrubszą kreską.

„Rojst ’97” jest tak skonstruowany, że można go oglądać niezależnie od pierwszego sezonu, ale pełniej wybrzmi ►